...YCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ — 63

SEWER
(IGNACY MACIEJOWSKI)

# DOLA

WYDANIE II

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

# Bibljoteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej.

1. Konopnicka Marja. Dym.
2. — Banasiowa.
3. — Nasza szkapa.
5. Żeromski Stefan. Siłaczka. — Na pokładzie,
6. Prus Bolesław. Antek.
7. — Na wakacjach. — Katarynka.
8. Orzeszkowa Eliza. Siteczko. — Czy pamiętasz?
9. — Babunia.
11. — Panna Antonina.
12. — A... B...' C...
13. Sienkiewicz Henryk. Janko muzykant. — Latarnik.
14. — Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły.
15. — Bartek Zwycięzca.
16. Galie Henryk. Czytanki polskie I.
17. — Czytanki polskie II.
18. Reymont Władysław. Wiosna.
19. — W porębie. — Przy'robocie.
21. — Pewnego dnia.
23. Kraszewski J. i. Łokietek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu.
24. Kraszewski J. I. Upiór.
25. — Z dziennika starego dziada.
26. — Profesor Milczek. — Rejent Wątróbka.
28. Rzewuski H. Kazanie konfederackie. — Ksiądz Marek.
29. — Tadeusz Reytan (z Pam. Soplicy)
30. — Sawa. Pan Borowski (z Pani. Soplicy).
31. Sienkiewicz H. Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) L
32. — Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) II.
33. — Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży).
34. — Z puszczy amerykańskiej.
35. Prus B. Kamizelka. — Michałko.
36. Dygasiński A. W puszczy.
38. Junosza Klemens. Wilki. — Wesołego.
39. Tetmajer K. Ksiądz Piotr.
40. Gomulicki W. Chałat.
41. Żeromski St. Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy.
42. Skarbek F. Łukasz Stempel.
48. Żmichowska N. Prządki.—Ze wspomnień dziecinnego wieku.
49. Sienkiewicz H. Z puszczy Białowieskiej.
50. — Niewola tatarska.
51. — Pójdźmy za Nim!
53. — Za Chlebem.
54. — Z pamiętnika nauczyciela poznańskiego.
55. — Sielanka. — Legenda żeglarska.
56. Siemieński L. Portret króla Jana. Posłowie siewierscy.
57. — Wieczór u gen. Kopcia. — Wiązanka konwalji.
58. Sienkiewicz. H. Orso. — Sachem.
60. Smoleński Wł. — Przyczyny upadku państwa polskiego.

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTE

SEWER
**(IGNACY MACIEJOWSKI)**

# DOLA

**WYDANIE II**



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA - KRAKÓW - LUBLIN - ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

*SK’LAbV* GŁÓWNE:
The polish book importing co. inc. new yoi<R
**«KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.> KATOWICE**

KRAKÓW;-DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

# I.

Pierwsze brzaski dnia oktawy Bożego Ciała oróżowiły jutrzenką ciemne chmury na wschodzie. W ślad za nią słońce rzuciło snop jasnych promieni, radując serca ludzkie, i zgasło. Ciemne chmury, gromadząc się w zbite kolumny, popychane wiatrem, szły do szturmu. Błyskawice przelatywały wśród szeregów, — głuche, przytłumione grzmoty zapowiadały walkę. Słońce starało się promieniami przedrzeć z poza ciemnej zasłony, lecz zwyciężone utonęło w nawale, lecącej szalonym pędem.

Serca ludzkie posmutniały, w oczach wiejskich dziewcząt świeciły łzy. Białe spódniczki, koszule z wielkimi haftowanymi kołnierzami, prasowane całą noc, zawieszone na strychach, kołysały się od podmuchu wpadającego w szczeliny wiatru. Kwiatki, zerwane na wieńce, drzemały w cebrzykach, wstążki i gorsety wróciły do skrzyń. Ciężkie westchnienia przerywają ciszę w chatach. Wczoraj tak jasno, złoto i różowo zachodziło słońce, nocą gwiazdy świeciły... Dziś wiatr jęczy, pędząc ciemne chmury, dym rozciąga się po drogach, ptaki zamilkły, bydło ucieka z pastwiska,

a ludzie leniwo, z pochylonemi smutno głowami, oglądając się poza siebie, wracają z pola.

Przycichło, — deszcz ciepły, kroplisty, zaczął padać, uderzając miarowo o strzechy chat. Słychać, go było, jak bił o twardą ziemię drogi. Zagrzmiało, i piorun daleko uderzył. Deszcz zgęstniał, przyśpieszając uderzenia, i zdawało się, że cienkie strugi leciały z nieba. Gorąco i parno, mgła zasłoniła pola, głuche jęki grzmotów oddalały się, chmury bielały, — słońce promienie swe powoli, ciekawie wysyłało na zwiady, chociaż jeszcze deszcz padał. Wiatr się zerwał z południa, przerzedzone chmury ustępowały. Słońce, wydobywając się z poza srebrnej mgły, niespodzianie roztoczyło swe blaski. Przeglądało się w kroplach deszczu, zawieszonych na liściach drzew, w zielonych kłosach zbóż i płynącej strugami wodzie. Świergot ptactwa wypełnił powietrze, ryk bydła, biegnącego na pastwisko, rozlegał się po błoniu.

Rozradowały się serca ludzkie, dziewczęta z rozkoszą spoglądały w jasny błękit nieba. Oczy ich świeciły radością, z uśmiechniętych, różowych ust ukazywały się szeregi białych zębów. Prasowane noc całą spódniczki i koszule z haftowanymi kołnierzami zniesiono ze strychów. Wieńce z bławatów, niezapominajek i polnych róż wiły się szybko, gorączkowo, aż palce mdlały. Lusterka poustawiano na stołach, włosy splatano w warkocze, upinając je wstążkami. Gorsety już nie leżały w skrzyniach, wznosząc się na falujących radością i niepokojem piersiach.

— Żeby ino Najświętsza Panienka dozwoliła pogody. — To było jedyne życzenie dzisiejszego dnia.

Gospodynie przeglądały z powagą i godnością swe chustki. Jedne z nich, wełniane, w pasy lub kwiaty, miały okrywać ich ramiona, — drugie, niniejsze, białe, haftowane na rogach, przeznaczone były do ubrania głowy.

Nie zabawiano się długo przy obiedzie. Dziewczęta nic nie jadły. Gdzie im tam myśleć o jedzeniu, — radość je karmiła, niepokój i wzruszenie serca zaspakajały głód.

Wystrzał z moździerza[x]) zadzwonił na szybach, jęknął w powietrzu; chłopcy na dzwonnicy zaczęli bić w kotły. Na drodze do kościoła najprzód ukazały się wystrojone gospodynie, za niemi w białych płótniankach powoli szli gospodarze. Na gościńcu zrobiło się ludno i gwarno.

Parami, w białych, prasowanych spódniczkach, z wieńcami na głowach, z wstążkami u warkoczy, w wyciętych gorsetach i haftowanych kołnierzach, przechodziły dziewczęta, zarumienione, nieśmiałe, uroczyste i dumne.

Kto żył na wsi, wybiegł przed chatę lub wyglądał przez okno. Dziwiono się głośno, zazdroszczono w duchu. Dzieci pogoniły naprzód, zwołując ludzi.

Wygonem, w stronę usypanego wałku od krętego strumyka, chuda dziewczynina prowadziła na powrozie uwiązane dwie krowy i jałówkę.

---

*) Moździerz — tutaj rodzaj armaty.

Śpieszyła się, bo, choć krowy szły raźno, poganiała je, wstrząsała powrozem i chudą rękę podnosiła w górę, strasząc, lub prosząc je głośno.

Nareszcie we czworo dopadłi do odarnionego wałku. Krowy rzuciły się chciwie na macierzankę i żółte mlecze; Jagusia, trzymając w ręku powróz, usiadła. Spódniczkę miała krótką, zaledwo sięgającą poza kolana — wyrosła z niej; gorsecik nie dopinał się, chusteczka na głowie spłowiała od słońca i deszczu. Niebieskie, duże jej oczy patrzały łagodnie na płynące cicho wody strumyka, usta wązkie i małe poruszały się. Szeptała.

— Gdybyś ty, latocha[1]), nie leciała w pański owies i nie prowadziła drugie na pokuszenie, wydołałabym może uzbierać... — odezwała się głośno, zwracając się do czarnej z białemi łatami krowy.

Latocha, rwąc z chciwością krwawnik z macierzanką, nie zwracała uwagi na prośby dziewczynki.

— Nie polecisz?

Latocha podniosła łeb, spojrzała rozumnemi oczami w stronę owsa i w dalszym ciągu skubała trawę.

— Pamiętaj-że! — zawołała Jagusia.

Wyjęła białą chusteczkę z zanadrza, rozłożyła ją na murawie i rwać zaczęła stokrotki, rumianek i żółte mlecze.

Nad wodami strumyka rosły niezapominajki, patrząc modremi ślepkami na dziewczynę.

---

[1]) Latocha — krówka jednoletnia.

— Latocha, bój się Boga, nie leć-że w owies! — wołała, zsuwając się z urwistego brzegu do wody.

I, choć woda po deszczu była zimna i głęboka, nie cofnęła się.

— Moje kwiateczki, nie bójcie się — mówiła. — Nie rwę ja was la siebie na uciechę. I po cóżbym was rwać miała? Pójdziecie wy przed samą Najświętszą Panienkę. A proście tam za matusią i za mną, biedną sierotą.

Latocha tymczasem porozumiała się z towarzyszkami. Powoli, nieznacznie podprowadziła je wałkiem pod rosnące zboże. I gdy dziewczyna, zakryta wyniosłym brzegiem, rwała kwiatki, — rzuciła się na zdobycz.

Tętent przeraził dziewczynkę; wydobyła się z urwistego brzegu i całą siłą młodych nóg puściła się w pogoń, pochwyciła wlokący się za Latochą sznur i wyprowadziła z owsa szkodników.

Na wałku obejrzała się, pełna niepokoju i złowrogich przeczuć. Szczęściem dla niej, nikogo nie było na całej przestrzeni, od drzew dworskiego ogrodu, zbitych w zieloną masę, chat, rozrzuconych w półkole, aż do krzaków olszy i owałowanego strumyka. Na wielkiem błoniu, daleko, bawiły się dzieci — ledwo ich dojrzeć było można.

— Ej, Latocha, Latocha, co ja się już za ciebie nacierpiała. Nie pamiętasz to, jak mnie zbili połowy[1]), a stryjna dołożyła? Sińce ci mam po całem ciele.

I tyle było skarg i wyrzutów. Pociągnęła

---

*) Polowy — ekonom, karbowy.

Latochę i jej towarzyszki pod stromy brzeg strumyka, pozbierała rozrzucone kwiatki i schowała je do białej chusteczki. Trzymając w jednej rQ.ee sznur przywiązany do rogów krowy, w drugiej chusteczkę, zwróciła się w stronę kościółka, którego czerwona wieżyczka, wyglądając z poza lip i topoli rosnących na cmentarzu, kąpała się w błękitach.

Wytężyła wzrok, wyobraźnia jej pracowała. Widziała tłumy ludu, ołtarze, ubrane w zieleń, dywany i lustra, dziewczęta, niosące obrazy, księdza pod baldachimem, śpiewy, światło... Widocznie musiała czekać znaku, bo wzroku nie odrywała, chwytając słuchem najmniejsze szmery w powietrzu, brzęczenie pszczół i dźwięki konika polnego.

Odgłos dzwonów rozlał się w przestrzeni. Serce Jagusi uderzyło gwałtownie, ściągnęła mocno trzymany w ręku powróz i, nie zwracając uwagi, że Latocha i jej towarzyszki rozjadly się w najlepsze, pociągnęła je za sobą, zmuszając do odwrotu urwaną gałęzią olszyny.

Biegły we czworo przez zielony wygon i szeroki gościniec, wpadając zdyszane przez wązkie drzwi do obórki.

Jagusia zamknęła je na skobel, obtarła zapaską [x]) spoconą twarz, zawiązała chusteczkę na głowę i zajrzała do uzbieranych kwiatów.

Dzwony i strzały z moździerzy odurzyły ją. Ściskając w ręku chusteczkę, biegła — i chociaż

---

*) Zapaska — fartuch,

strach łapał ją za nogi i zatrzymywał, serce biło z radości, popychając naprzód.

— I cóż, że jestem bosa i obdarta, to i tak mnie Święta Panienka zobaczy. I cóż, że mnie stryjna zbiją, to może prędzej Święta Panienka zlituje się nade mną. Mało to mnie nabili z do-bra-woli ? Może i lepiej, źc teraz zbiją za Świętą Panienkę.

Nie śmiała głośno myśleć, lecz na dnie jej serca drzemała nadzieja, zgłuszona strzałami moździerzy.

Po kamiennych schodach dostała się na cmentarz. Śpiewy ludu, przybranego świątecznie, muzyka, światła, ołtarze, chorągwie, dziewczęta w wieńcach, niosące obrazy, ponad tern baldachim czerwony, trzymany przez starszyznę, proboszcz w złotej kapie — rozradowały Jagusię. Oparta o topolę, patrzała zdziwionemi oczami na ten uroczysty pochód. Chłopcy w białych komżach i czerwonych pelerynach, dzwoniąc trzymanymi dzwoneczkami, oprzytomnili ją. Tuż za chłopcami zobaczyła córkę organisty, wójtównę i kowalczankę, sypiące kwiaty pod stopy księdzu. Zarumieniła się ze wzruszenia, przecisnęła przez szeregi braci różańcowych, idących z zapałonemi świecami, drżącą ręką wydobywała kwiatki z chusteczki i zaczęła je sypać.

Wójtówna zmarszczyła brwi, kowalczanka się od niej odwróciła, jeden z braci różańcowych uderzył ją świecą po nogach, że o mało co nie upadła, lecz ją schwycił za rękę i wypchnął za szereg.

Wójtówna z kowalczanką uśmiechnęły się dumnie. Jagusię oprzytomnił ból — nie dała za wygraną. Usunąwszy się nieco ludziom z drogi, patrzała ciekawie.

' Napróżno idąca w tłumie z zapaloną świecą stryjna groziła jej. Nie widziała jej gróźb, a choćby widziała, nie ustąpiłaby.

Kapela, złożona z trzech trąb, dwóch fletów i jednego bębna, przy podniesieniu zagrała. W serce dziewczyny wstąpiło męstwo i otucha. Obiegła w przeciwną stronę cmentarz, minęła chorągwie, aż póki nie zobaczyła dziewczyn, niosących obrazy. Upatrzyła sobie najładniejszą Świętą Panienkę w złotej koronie i różowej sukience, i przed nią drżącą ręką, wydobywając z chusteczki kwiaty, sypała.

Dziewczęta były rade, uśmiechały się, depcząc kwiatki, jakgdyby je dła nich sypała.

— Abo to tu, głupia — szepnęła jej stara Klimkowa.

Nie odpowiedziała jej Jagusia — wiedziała, co robi. Wysypała wszystkie kwiatki i wtedy spojrzała pogodnie na Świętą Panienkę. Zdawało jej się, że się uśmiechnęła. Ognie wystąpiły na bladą jej twarz, odetchnęła głęboko i, pełna radości, cofnęła się pod lipę, stojącą na pagórku.

Raz jeszcze przesunął się przed jej oczami cały orszak procesyi, raz jeszcze bito z moździerzy, kapela przygrywała, chłopcy dzwonili w dzwoneczki, lud się korzył przed mostrancyą, baldachim błyszczał złotem i purpurą na słońcu, chorągwie powiewały. Nadeszły dziewczęta z obra-

zami, Jagusia nie śmiała patrzeć ze strachu i radości. Oczy spuściła, serce jej biło, nogi drżały.

Przez otwarte podwoje kościoła cisnął się lud. Na cmentarzu zrobiło się pusto. Chłopcy, starym zwyczajem, łamali gałęzie z ołtarzy. Z wnętrza kościoła wydobywały się przytłumione tony organów.

Jagusia, popychana ciekawością, weszła nieśmiało do kruchty, stanęła na starych schodach, patrząc zdziwiona. Dym kadzideł, wznoszący się w górę, światła migocące, jak złote gwiazdy, i śpiew ludu uroczysty, rzewny, napełniły jej serce grozą i podziwem. Nie śmiała sięgnąć wzrokiem do wielkiego ołtarza, szukała oczami Świętej Panienki w koronie i różowej sukience. Zobaczyła ją poza niebieską chmurą dymu. Zadrżała, zeskoczyła ze schodów, wysunęła się na cmentarz i, pędząc drogą, dobiegła do obórki, w której schowana Latocha z towarzyszkami żałośnie ryczała.

— Cicho, cicho, ty pieszczocho — uspokajała ją dziewczynka. — I wielgie cię nieszczęście spotkało, żeś se na chwilę legła i bąki cię nie kąsały, co ?

Słowa Jagusi widocznie trafiły do serca Latochy, bo, wyciągnąwszy szyję, trącała pyskiem rękę dziewczyny, dając jej znać, że sobie życzy, aby ją podrapała po podgardlu na zgodę. Lecz nie było czasu na pieszczoty, stryjna mogła nadbiedz z kościoła...

I znowu wygonem we czworo — dziewczyna, Latocha i jej towarzyszki, biegły na wałek. Widocznie strumień radował się z przybycia dziew-

czyny, bo szemrał po kamyUach i wesoło bulgotał na zakręcie. Przykucnęła, trzymając w ręku powróz — Latocha i jej towarzyszki rzuciły się na macierzankę i żółte mlecze.

Przed oczami dziewczynki przesuwały się widziane obrazy, uśmiech Świętej Panienki i grożąca ręka stryjny, jej ściągnięte brwi i zaciśnięte usta.

— Przecież mnie Święta Panienka obroni — wmawiała w siebie. — A jak nie obroni?...— Dreszcz ją przeszedł po ciele. — Jak nie obroni, to i przecierpię. Tyle już przecierpiałam.

W serce jej wstąpiła odwaga uśmiech świętej Panienki, przebłyskujący we wspomnieniach, rozpędził ciężkie chmury.

Mgły zaczęły okrywać strumień i łąki nad rzeczką; gwary, panujące nad błoniem i wioską, przycichły, góry ciemniały i rozpływały się w wieczornym mroku. Olsze tylko, poruszane wiatrem, smutno szumiały, żaby w przykopach *) odzywały się. Ponad szum olszyn, skrzekot żab i szmery rzeki wypłynął cicho księżyc. Światło jego srebrzyło zielone błonia, muskało liście drzew i zawisło nad białemi mgłami.

Latocha spojrzała mądremi oczami na osrebrzony krajobraz i szarpnęła powrozem, budząc z odrętwienia dziewczynę.

Zerwała się Jagusia, myśli jej, podobne do zatrzymanych wód, wezbrały.

Stryjna, z grożącą pięścią i nasuniętemi

---

*) Przykop — rów, wzdłuż czego wykopany.

brwiami na czarne oczy, zasłoniła świętą Panienkę i jej uśmiech. Gniew gospodyni łączył się z rozpalonym ogniem na kominie, syczał i wybuchał; ziemniaki nie oskrobane patrzały na nią surowo, woda w garnku kipiała przekleństwami, stryjek wzdychał, a pewno parobek markocił i wyzywał...

Pobiegła przez wygon, ciągnąc Latochę i jej towarzyszki. Im bliżej była wsi, tern ją więcej strach chwytał za serce i nogi. Dopadła do zagrody. We drzwiach stajni stała stryj na, podparta pod boki — i gdy Jaguś przestąpiła próg, uderzyła ją pięścią w kark, że aż upadła.

— Zachciewa ci się z gospodarskiemi dziećmi rzucać kwiatki przed księdza, i dlatego bydło mi głodzisz i do nocy je trzymasz. Ja z ciebie duszę wywlokę!

Postąpiła z wyciągniętą pięścią krok naprzód. Jagusia schowała się za Latochę, wiążąc ją do żłobu.

Nie obroniła dziewczynki święta Panienka.

— A może za jej przyczynieniem skończyło się na jednem uderzeniu — pocieszało się dziewczę.

Pomimo, że Latocha dala prawie pełen skopiec mleka, a jej towarzyszka większą połowę, nie pocieszało to zagniewanej gospodyni, gdyż, dojąc krowy, powtarzała:

— Chciałoby się to równać z gospodarskiemi dziećmi, a nie ma czem grzbietu przykryć. Ale ja sobie z nią poradzę, chyba mi ręka ustanie.

Wyszła z mlekiem, nie spojrzawszy na Jagusię.

Dziewczyna została sama; usiadła na progu,

podparła głowę na rękach, patrząc w okna chaty, czerwone od płonącego ognia na kominie.

— I cóż ma z nią sobie tak radzić ? — myślała. — Czyż ona nie pasie troje sztuk bydła, nie rvyie dla nich chwastu, nie miele na żarnach, nie pierze bielizny, bijąc ją przy strumyku kijanką[1]), chociaż jest mała, zbiedniała i chuda?

Głód jej dokuczał. Wstała, powoli podeszła do chaty, uchylając nieśmiało drzwi.

Stanęła przy kominie — zapach ugotowanego mleka rozchodził się po izbie.

Zobaczyła ją stryjna, pochwyciła za rękę i wypchnęła z izby.

— Ki ej nie robisz, to i nie jedz.

Drzwi z trzaskiem się zamknęły.

Kuba, młody, o łagodnej twarzy parobek, spojrzał z pewnym wyrzutem na gospodarza, siedzącego za stołem przy misce klusek. Spojrzenie Kuby widocznie dobrze oddziałało, bo opuścił oczy i, biorąc na odwagę, odezwał się:

— Ej, Kaśka, bój się Boga, chcesz ty zamorzyć dziewczynę? Ino ją bijesz, klniesz i głodzisz...

— A tobie co do dziewczyny ? — wrzasnęła, biorąc się pod boki.

Kuba się uśmiechnął szyderczo.

Podrażniony uśmiechem gospodarz zawołał:

— A toć dziecko mojej siostry, rozumiesz ?

— A ty z jakiemżeś to bogactwem wlazł do

---

[1]) Kijanka — pałka, którą wiejskie kobiety uderzają hiokrą bieliznę dla wyprania jej.

mojej chaty?... Jedna koszula na grzbiecie i buty podarte.

— Wlazł w nowym kożuchu i buty miał, jak się patrzy — odezwał się Kuba.

— Cicho! — krzyknęła gospodyni, grożąc Kubie. — Nie wtykaj nosa między drzwi. A choćbyś miał i kożuch — zwróciła się do gospodarza, — to i cóż ? A że siedzisz w porządnej chacie i masz co do gęby włożyć, komużeś to winien ?

— A nie pracuję? — odpowiedział, zmieniając ton głosu na łagodniejszy.

— A cóżeś chciał leżeć i spać, aby ci ino pod gębę podtykać?

Kuba, korzystając z nieporozumienia małżeńskiego, wyszedł, unosząc z sobą miskę z ziemniakami.

— Gdzie ? — krzyknęła za nim gospodyni.

— Swarzycie się, to wolę pojeść se w stajni.

— Niesiesz dla tej szelmy.

— Moje, to mi wolno — odpowiedział, niknąć w ciemnościach.

Miała wielką ochotę dogonić go i odebrać mu miskę z ziemniakami, tylko się bała.

Chłop w milczeniu wyławiał kluski, potem wypił mleko, otarł usta rękawem i wyszedł, siadając na ławie przed chatą. Lecz, gdy gospodyni zaczęła omywać naczynia i pacierz mówić, poszedł Wolno do stajni.

— Naści! — szepnął, wsuwając kawałek chleba do rąk Jagusi, siedzącej na progu.

Pocałowała go w rękę.

— Kuba dał ci ziemniaków ?

— Dał — odpowiedziała cicho.

— Jak tylko podrośniesz, to cię oddam kiej w dobre ręce, a bez ten czas musisz jakoś przebiedować.

— Dobrze — odpowiedziała dziewczynka.

— Przebiedować — odezwał się Kuba, podchodząc z głębi stajni. — Abo to przetrzyma zimę w takiej poniewierce ?

Gospodarz uczuł prawdę słów Kuby, lecz, nie umiejąc na nie odpowiedzieć, wrócił do izby.

— Ej, przebieduję, mój Kuba — odezwała się Jagusia. — Bo, widzisz, święta Panienka uśmiechnęła się dziś do mnie.

— Oj głupia, głupia, — szepnął Kuba.

— Uśmiechnęła się, jak matusię kocham. I to za jej wolą przyniosłeś mi ziemniaków, a gospodarz kawałek chleba.

— Nie pleć, przyniosłem, bo mi cię żal było.

— Żal ci mnie było, bo święta Panienka ulitowała się nade mną! Dawniej mnie nie żałowałeś.

Kuba wzruszył ramionami. Nie roztrząsał rozumowań dziewczynki — nie miał na to czasu i ochoty.

Jagusia zagrzebała się w słomę, leżącą w rogu stajenki, i zasnęła.

## II.

Dzień egzaminu w szkole zbliżał się powoli. Gospodynie szyły spódniczki dla dziewczyn, prały dla chłopców płótnianki, — dzieci na błoniu rozprawiały o nim głośno. Mówiono o nagrodach, czerwono i niebiesko oprawionych książeczkach o kwiatkach robionych, wstążkach i obrazkach. Jagusia słuchała opowiadań dzieci. Oczy jej patrzały ciekawie, usta, napół odchylone, mówiły, że jest mocno zajęta tą sprawą.

Dla niej nikt nie szył spódniczki, nikt jej nie splatał warkoczy, nie głaskał jej. Książki, obrazka nie miała w ręku. Chłopcy śpiewali piosnki, których się nauczyli w szkole, przytupując nogami, klaszcząc w ręce. Dziwy opowiadali o panu nauczycielu, o czarnej tablicy, o wielkiej mapie, o krajach całych i morzach, malowanych na niej. Jagusia słuchała smutna. 

— Gdyby matuś żyli — myślała — i jabym się uczyła.

Przed oczami jej duszy stanęła święta Panienka w różowej sukience i koronie na głowie.

— Czyż mnie zaprowadzi do szkoły, nową uszyje spódniczkę? — rozmyślała. — Może ino obronić, gdyby chciała. Czy ino zechce?...

— No i czegóż to, Jaga, stoisz, jak malowana, i ślepia wytrzeszczasz ? — zbudził ją z zamyślenia Wojtek, smagając batem po trawie.

Dziewczyna, zawstydzona, nie odpowiadając, odeszła i usiadła na wałku. Chłopcy i dziewczęta

śmieli się z niej, nazywając malowaną Jagą. »Malowana Jaga!« — rozbrzmiewało po błoniu. Dziewczynka nie odpowiadała na śmiechy i wołania dzieci. Myślała potrosze o swej doli, o matusi i świętej Panience, a najwięcej o jutrzejszym egzaminie.

* *

Stryjna jeszcze przed wschodem poszła na jarmark.

Słońce wczesnym rankiem rozpędziło mgły, błąkające się nad rzeczką, wypiło rosę z łąk, osuszyło liście drzew i, mknąc w górę, coraz większy żar rzucało z nieba. Gorąco było i cicho — nikogo na Bożym świecie. Czasami wiatr przesunął się po wierzchołkach drzew, zaszeleścił liśćmi i przycichł. Ptaszki zamilkły, bydło przestało ryczeć, pastuszkowie leniwo szli za bydłem.

Ogień z nieba leciał.

Jagusia uwiązała Latochę i jej towarzyszki, uczesała się w stajni przed lusterkiem Kuby, zaplotła warkocze starą wstążeczką, darowaną jej przez Marysię Łucarzównę, i uśmiechnięta, chociaż boso i w krótkiej spódniczce, poszła do szkoły.

Przed drzwiami stał przysiężny [1] i wpuszczał tylko zaproszonych gości.

Jagusia wpatrywała się w niego miłosiernie.

—•, Byłaś kiedy w szkole? — zagadnął ją.

— Nie jeszcze, tatusiu — odpowiedziała, ca-

[1]) Przysiężny, przysięgły — chłop, wybrany do pełnienia jakiejś czynności (sądowej, administracyjnej).

łując go w rękę, i, nie czekając na odpowiedź, przesunęła się przez drzwi.

— A niech i to bieda jstwo ucieszy się — myślał przysiężny, patrząc na dziewczynkę, różową z radości, zaglądającą ciekawie do klasy.

Powoli, nabierając odwagi, weszła do dużej, jasnej izby, zapełnionej dziećmi.

Na katedrze siedziała starszyzna: dziedzic, proboszcz, dziedziczka z córką i jakiś pan młody i piękny-

— Wstać! — zakomenderował nauczyciel.

Dzieci powstały i na dany znak zaczęły chórem śpiewać:

Szczera dziś wdzięczność w sercach naszych tleje,
lżeście państwo, zacni dobrodzieje,
Przybyć raczyli do malutkiej młodzi,
By się przekonać, na czem jej czas schodzi.
O małych siłach tyleśmy zrobili,
Więc nas oceńcie w rozłączenia chwili...

Jagusia słuchała z otwartemi ustami, wlepiając w dzieci swe niebieskie oczy. Śpiew ustał, dziewczynka wciąż patrzała uroczysta, zamyślona.

Nauczyciel przeczytał listę najpilniejszych uczniów, a dziedziczka rozdawała nagrody — czerwono i niebiesko oprawne książki, kajety, gorsety i wstążki. Dużo było radości, szeptów i gwaru. Córka dziedziczki wzięła pakiet obrazków i, zbliżywszy się do ławek, rozdawała je po kolei dzieciom. Pomagał jej młody pan. Gdy przyszli do miejsca, w którem stała Jagusia, dziewczynka wyci ągnęła rękę.

*— Ona nie chodziła do szkoły! — zawołały dzieci.

Dziewczynina spuściła rękę i zarumieniła się.

— Dlaczego nie chodziłaś ? — spytał jej młody pan.

— Bo nie mam ani butów, ani elementarza, i stryj na nie dadzą — dokończyła cicho.

— A gdybyś miała elementarz ?

— Chodziłabym bez całą zimę i lato.

— Któż za nią będzie paść ? — odezwała się Kowalczanka.

Młody pan nie słyszał skargi; wyjął z portmonetki srebrnego guldena [x]) i podał dziewczynce.

— Kup sobie elementarz i chodź do szkoły.

Córka dziedziczki dała jej obrazek i pogłaskała ją ręką po twarzy.

Jagusia ze wzruszenia zapomniała dziękować. Zbladła, serce jej biło, oczy świeciły.

— Patrz pan, jaki to ładny kolor oczu u tej dziewczynki. Bławatki jej zazdroszczą.

— Widzisz, nie podziękowałaś — mówił młody pan, i, nadstawiając twarz dziewczynce — pocałuj — doradzał jej cicho.

Dziewczynka pocałowała; piękna panienka uśmiechnęła się; wśród dzieci powstał szmer nad odwagą malowanej Jagi i jej szczęściem. Uśmiechnęła się i dziedziczka i radni, siedzący przy drzwiach.

Zarumieniona ze wstydu nie wiedziała, co z sobą zrobić. W jednej ręce ściskała guldena,

---

[1]) Gulden — moneta austryacka = 80 kopiejek.

w drugiej obrazek, a nie mogąc znieść zwróconych na siebie oczu starszyzny, powoli wysunęła się ze szkoły. Na korytarzu odetchnęła głęboko, na dworze zaśmiała się serdecznie, podskoczyła i pobiegła z całych sił prosto do obórki. Nie miała przed kim się pochwalić — chwaliła się przed Latochą, przykładając jej srebrnego guldena do oczu i do pyska. Latocha sapała, chwytając językiem rękę dziewczynki.

— Tybyś ino wszystko zjeść chciala — rzekła, uderzając ją zlekka ręką po karku.

Przechodził Kuba.

— Kubuś, bój się Boga, a stanij-no i popatrz; widzisz, srebrny talarek od panicza, a obrazek od panienki. Patrz, taka ci samiutka święta Panienka, jak na obrazie, co się do mnie uśmiechała.

— I cóż będziesz robić z tymi pieniędzmi? — odezwał się Kuba.

— Panicz powiedział, że to na elementarz.

— Bo cię to stryjna oddadzą do szkoły, głupia? Lepiej daj gospodarzowi, niech dodadzą z pięć szóstek *) i kupią ci buty, choćby podszycie.

Jagusia nie miała ochoty zgodzić się na praktyczną radę Kuby, bo głową przecząco wstrząsała,

— A jak zima przyjdzie? — spytał Kuba.

— Zima daleko! — zawołała. — Daleko, mój Kubusiu, i nie odwódź mnie od tego, bo i panicz tak kazali, i ja mam ochotę. W szkole ładnie i pewno ciepło.

---

*) Szóstka — moneta 10 centowa = 8 kopiejek.

— Pójdziesz ty do niej — rzeki Kuba i, machnąwszy ręką, odszedł.

Dziewczynka została sama. Wybuchy jej radości zmniejszały się i cichły. Kuba ją otrzeźwił. Zaczęła wahać się między obowiązkiem kupienia butów a rozkoszą posiadania elementarza... Elementarz zwyciężył!

— Wszystkie dzieci mają elementarze, ino ja jedna go nie mam — mówiła, wpatrując się w obrazek świętej Panienki.

— Taki ci samiutki, jak w kościele. A może to święta Panienka kierowała ręką córki dziedziczki.

W umyśle Jagusi zaczęła się tworzyć legenda.

Kuba dał jej kawałek tektury, złożyła go na dwoje, kładąc do środka obrazek. Z konopi uwiła nitkę, nią związała tekturę i wszystko razem schowała za gorset i koszulę.

— Mój Kubuś, nie gadajże o srebrnym talarku ani stryjnie, ani gospodarzowi. Nie powiesz?

— Cóżbym miał gadać? a dyć ta jędza z gardłaby ci go wydobyła.

Po południu zaludniło się błonie dziećmi. Pobiegła i Jagusia, pędząc Latochę i dwie jej towarzyszki. Dzieci się chwaliły, pokazując swe nagrody i prezenty. Rogate czapki czerwieniły się na zielonem błoniu. Wesołość i ochota wybuchały dowcipem i skocznemi piosnkami.

Dziewczymna bała się pokazywać srebrnego talarka, a obrazki miały wszystkie dzieci; lecz rada się była bawić, rada była być wesołą, tylko jakoś nie mogła. Śmiała się, gdy się inne, śmiały, ale ani tańcować, ani się ochocić nie umiała.

Wałek, raźny i wesoły chłopak, skończył pierwszą klasę; na książce nieźle czytał i źrebięta pasał, przez co był w poważaniu u gromadki. I on to pierwszy zaczął świadczyć Jagusi, odganiać od szkody Latochę, opowiadać różności, biczysko jej wyrychtował[x]) galante[2]) i przeniósł przez wodę na drugą stronę strumyka.

Dziewczynka była temu rada. Sierota, nikt jej nie pogłaskał, nikt jej nie pochlebiał, a przecież był to chłopiec, na książce uczony. 1, gdy słyszała, jak dzieci mówiły, że Wałek świadczy malowanej Jadze, uśmiechnęła się dumnie.

Zaprzyjaźnili się.

— Wiesz, Jaguś, co, jutro jarmark — odezwał się w parę dni później chłopiec, gdy wieczorem wracali do wsi.

— Słyszałam — odpowiedziała. — Stryj na pewno przed wschodem słońca poleci. A niech leci.

— I jabym poszedł, tylko nie mam z czem.

Zamilkł; dziewczynka nie śmiała się odezwać, lecz serce jej zabiło smutnem przeczuciem.

— A muszę być — mówił dalej wzruszony.

— Musisz ? — powtórzyła bez myśli.

— Muszę! — zawołał. — 1 pójdę, jeżeli ty mi pomożesz, Jaguś, i tego talarka, coś go dostała od panicza, pożyczysz.

— Waluś! — szepnęła. — To całe moje bogactwo.

— A cóż to! zabiorę ci, okradnę cię? Niech

---

’) Wyrychtować — sporządzić.

’) Galanty — ładny.

mnie Bóg ciężko skarżę, jeżeli ci za dwie niedziele nie oddam.

— Cicho, cicho — uspokajała go. — Nie mam się to bać...

— Nie masz, bo, niech się w ziemię zapadnę...

— Waluś! — zawołała.

— Dasz ?

— A cóż mam robić, choć mi się serce z żalu ściska.

— Niech się ino nie ściska, bo nie ma z czego — rzeki z mocą, przygniatającą dziewczynkę.

Szli dalej w -milczeniu. Bose ich nogi zapadały się w piasku. Waluś się bał, aby mu w ostatniej chwili nie odmówiła; dziewczyna się bała Walka.

Słońce zaszło za chmurę, szaro się zrobiło, tylko pod czarnym lasem paliło się niebo purpurą. Parno było i ciężko, że tchu brakowało. Objedzona Latocha i jej towarzyszki stawały; Jaguś je ciągnęła za powróz, ocierając zapaską pot
7. czoła. Zamyślony chłopiec szedł z pochyloną głową.

Mijali na wzgórzu figurę, otoczoną topolami. Stały, jakby zaczarowane, ani jeden listek na nich się nie poruszał. Błyskawica otworzyła niebo. Jaguś się przeżegnała. Za wzgórzem ciągnęła się twarda droga, wysadzona wierzbami. Raźniej im było iść; Latocha sama rwała się do domu.

Niedaleko chaty stryjny Wałek stanął, przytrzymując Jagusię za rękę.

— Czekać będę pod figurą choćby do pół-

nocy — odezwał się drżącym głosem. — Ale pamiętaj, jeżeli nie przyniesiesz...

Dziewczyna milczała.

— Przyniesiesz ? — nalegał; w głosie jego czuć było groźbę.

— Przyniosę — szepnęła i poszła za Latochą i jej towarzyszkami, które już wpadły w opłotki[1]).

Wieczorem, po wydojeniu krów, kiedy czerwony ogień świecił przez szyby okien, dziewczynka usiadła na ławce, wyjęła z zanadrza tekturę, w której był schowany obrazek, odwiązała nitkę i patrzała ciekawie. Święta Panienka uśmiechała się do niej, lecz jakoś smutno. Odwinęła ukrytego w gałgankach talarka. Świecił się i migotał; przeczuwała, że go traci, lecz nie śmiała nie dać.

Wałek był dla niej dobry, serdeczny, zaprzysięgał się i czeka, chociaż noc taka ciemna, a błyskawice jedna za drugą przelatują.

Zerwała się, westchnęła ciężko i opłotkami dopadła do drogi.

Wałek czekał pod figurą.

— Masz ? — spytał się przyciszonym ze wzruszenia głosem.

Dziewczynka roztworzyła rękę, srebro zaświeciło w ciemnościach; chłopiec pochwycił je szybko.

— Waluś, przysiągłeś! — szepnęła.

— A niech mnie...

---

[1]) Opłotki — przejście między płotami.

— Cicho! — przerwała mu, odwróciła się i ż pełnemi łez oczami poszła drogą powoli do chaty.

Chłopiec patrzał za dziewczynką, póki mu w ciemnościach nie zniknęła. Sumienie zaczęło go gryźć i powtarzać mu: sierota, sierota.

— Abo jej to nie oddam, czy co? — zawołał; ścisnął w ręku srebrny pieniądz i, bojąc się sam nie wiedzieć czego, biegł ścieżkami do domu.

Błyskawice oświecały mu drogę. W świetle ich zdawało mu się, że widzi płączącą Jagusię. Wrony, siedzące na wysokich olchach, zbudzone światłem błyskawic, krakały za nim: »Sierota! sierota!«

Uciekał, ile mu sił tylko starczyło, i dopiero, gdy zobaczył światła w oknach chat, zwolnił kroku, ciężko oddychał i śmiał się z siebie.

Minął tydzień i drugi, Wałek przestał świadczyć Jagusi, unikał jej i nierad zaglądał na błonia. Dziewczynka nie śmiała go zaczepiać, wstydziła się za niego — i, gdy się spotkali, milczała, smutnie patrząc na niego.

— I czegóż tak na mnie swe duże ślepia wytrzeszczasz ? — zawołał, nie mogąc znieść jej zwroku. — Cóż to, nie oddam ci głupiego talara ?

Jagusia odwracała się od niego i nie odpowiadała. Chłopak zły i chmurny odchodził, przysięgając sobie, że, jak kiedy zdobędzie guldena, to go jej w twarz rzuci.

III.

Słońce chyliło się na dół, z niem uciekało i lato. Przez żółte liście i białą pajęczynę zaglądała jesień. Zimne ranki, perlące się szronem na łąkach, ciemne, wlokące się z północy chmury i wiatr, szumiący w olszynie, zasmucały dzieci.. Starsi mówili o zimie. Stryjna rzuciła Jagusi płachtę, aby się czem przykryć miała. Lecz cóż płachta przy bosych nogach i krótkiej spódniczce pomoże ?

— Widzisz — mówił Kuba do Jagusi. — Źle ci radziłem, żeby do papierka, co ci panicz dał,, dołożyć i buty kupić ?

— A to przecież stryjna!... Nie pasałam jej bez całe lato trzech sztuk ? — odpowiadała.

— Doczekasz ty się, nim ci ona za złamany grosz co kupi.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała, westchnęła za straconym talarkiem, pomyślała o szkole o elementarzu i pognała bydło na paszę.

Deszcze się spuściły, wiatr dął z zachodu; ciemne chmury leciały, ciskając na świat strugi zimnej wody. Nożyny Jagusi już nie czerwone, lecz granatowe się stały. Odziana płachtą, stała na wałku, trzęsąc się z zimna. Nie skarżyła się na nikogo, bo taka jej już dola — ani na stryjnę, ani na Walka. Czasem wspomniała sobie o świętej Panience, lecz czyż to ona kupi jej buty na jarmarku ? Tego przecież żądać nie może.

W nocy stłukło ją zimno, potem ogień roz-

■palił. Nad ranem zaledwo mogła nogi wlec za sobą. Deszcz ustał, słonko zaglądało z poza chmur, tylko wiatr jęczał, szarpiąc strzechy chat i drzewa w olszynie.

Bała się skarżyć stry j nie, powiedziała tylko Kubie — i ten dał jej starą derkę, żeby sobie miała czem nogi obwinąć.

Na południe stała się raźniejsza i weselsza, zjadła troszkę żuru kwaśnego — smakował jej. Lecz, gdy bydło w pole wygnała, pod wieczór zimno znów zaczęło ją trząść. Otuliła się płachtą, pookręcała nogi derką i ułożyła się na wałku. Z początku słyszała jęki wiatru i szum wody w strumyku. Wkrótce szumy i jęki zlały się w jedną całość, przycichły zwolna — zasnęła.

Zbudziły ją dalekie wołania; zdawało się jej, że słyszy głos stryjny. Otworzyła oczy — gwiazdy wyglądały z poza ciemnych chmur, Latocha żałośnie ryczała. Zerwała się. W myśli jej stanęła stryj na z pięścią, podniesioną w górę, głos jej przeciskał się przez fale wiatru.

Dreszcz ją przeszedł po ciele; pobiegła do Latochy. Zaplątana w sznur leżała zziębnięta na ziemi, tuż przy niej stała jej towarzyszka. Cielęcia nie było.

Drżącemi rękami z przestrachu uwolniła z pętów Latochę i, trzymając ją za rogi, nawoływała cielę — napróżno! Wiatr zagłuszył jej krzyk, tylko głos stryjny wydobywał się wśród szumu i wycia. Nie było rady, trza było krowy popędzić do drogi; stryj na je odbierze, a ona sama pójdzie szukać zguby. Latocha zziębnięta rwała

się, puszczona przez dziewczynkę, pędziła do domu wraz z towarzyszką, za niemi biegła wystraszona Jagusia. Szumiało jej w głowie, serce bilo, tchu brakło w piersiach. Przeczuwała wielkość nieszczęścia, lecz sprawy sobie zdać z niego nie mogła.

— Moja dola! — szepnęła, westchnęła ciężko; dreszcz strachu zatrząsł nią całą i biegła dalej za Latochą i jej towarzyszką.

Głos stryj ny, syczący i chrapliwy, drżący przekleństwami, rozlegał się. Latocha z towarzyszką poskoczyła za głosem. Jagusia stanęła, jakby jej nogi wrosły w ziemię.

Odgłos kopyt biegnących krów przycichał, głos, brzmiący przekleństwami, oddalał się. Dziewczynka odetchnęła, obejrzała się dokoła, spojrzała w górę. Chmury leciały po niebie daleko, na koniec. świata, gwiazdy świeciły i gasły. Słuchała — wiatr jęczał żałośnie. Wśród tych jęków zdawało się dziewczynce, że słyszy bek cielęcia. Nadzieja zakołatala do jej serca. Pociągnęła płachtę na ramiona i pobiegła za głosem na błonia, z błonia na wałek i znowu słuchała. Wiatr jęczał żałośnie, targając gałązkami leszczyny, lecz poza tymi jękami wydobywał się zdaleka żałośnie ryk cielęcia. Skoczyła... zatrzymał ją stromy brzeg strumyka Wsunęła nogę do wody — była zimna i głęboka Nie miała jednak czasu do obaw i namysłów. Zdjęła z siebie płachtę i przerzuciła na drugą stronę, odwiązała spódniczkę, zwinęła ją i za płachtą rzuciła. Zanurzyła się, zimno nią wstrząsało, woda podrywała, że ledwo uchwyciła się pręci wikliny, rosnącej na drugiej stronie.

Sierp księżyca wynurzył się na wschodzie płynąc szybko po bladem niebie. Promienie jego srebrzyły chmury i wodę, rozlaną po błoniach.

Dziewczynina, drżąca od zimna, zawiązała spódniczkę, płachtą się okryła, przykucnęła i oglądała się dokoła.

Daleko, wśród krzaków rozrzuconej choiny, coś się poruszyło; pobiegła, siekąc zziębniętemi stopami wodę świecącą, zapadając się w trzęsawiska czarnego torfu[1]). Dopadła do krzaków i zobaczyła ostrężynę [2]), wyginającą się od wiatru, tulącą się do osamotnionej sosenki. Rozglądała się coraz dalej — i znów między krzakami majaczały jakieś cienie. Pogoniła za nimi — cienie nikły, wiatr zrywał się i przycichał, księżyc świecił i gasł wśród chmur, mknąc po szarem niebie. Dziewczynina biegła coraz dalej i dalej.

Skończyły się moczary torfu, świecące szerokimi płatami wody z pomiędzy rozsianych po niej krzaków. Zaczęły się grunty orne i twarde błonia. Zdaleka widać było kościół i szare dachy chat. Na wzgórku stał krzyż, wznosząc krótkie swe ramiona. Zmęczona oparła się oń, lecz ustać nie mogła; nogi jej drżały, a były ciężkie, jakby z ołowiu. Zsunęła się na ziemię i, choć jej w głowie huczało, słuchała i rozglądała się, wytężając wzrok — zajęta myślą odnalezienia cielęcia.

---

>) Torf — rodzaj węgla, tworzący się z gnijących "W bagnie roślin.

[2]) Ostrężyna — krzak jeżynowy.

Choćby się miała zapaść w ziemię, bez cielęcia nie wróci do chaty — przysięgała sobie. Zaledwo dosłyszane szczekanie psów i dalekie odgłosy rogów nocnych stróżów wstrząsnęły nią. Zerwała się, przeszła wpoprzek drogę i, szukając oczami łąk lub błoń, biegła gorączkowo. Myśl jej zwracała się od cielęcia, do chaty stryjny, doli jej i świętej Panienki. Nie skarżyła się na nikogo, lecz była zgnębiona. Wobec wielkiego nieszczęścia święta Panienka nie przychodziła jej na pomoc, a gdyby przecie chciała, naprowadziłaby ją na zgubę.

Im dłużej szła, tern więcej przyśpieszała kroku. Chwilami stawała, nasłuchiwała i znowu biegła. Zimno jej było, choć pot kroplami spływał jej po twarzy.

Księżyc zaszedł, wiatr przycichł, mgła zaległa ziemię. Na wielkiej przestrzeni, otulona białymi jej zwojami, wśród nieznanych pól, jak atom *), rzucony na dno morza, dziewczynina uczuła się opuszczoną przez Boga i ludzi. Ręce załamała i, cicho płacząc, wołała matusi.

— Pójdź! pójdź! — rozległ się krzyk sowy tak blizko, że słyszała szum jej ciężkich skrzydeł.

W krzyku tym zrozumiała dla siebie wyrok.

— To pójdę! — odpowiedziała. — Pójdę! — powtórzyła z siłą niezłomnego postanowienia.

Matusia, zapracowana cały dzień, ani ją pieściła, ani głaskała, ale było jej u niej dobrze — cicho. Przypomniała sobie chwile dzieciństwa

---

*) Atom — najdrobniejsza cząstka wszechrzeczy.

swego, tęskniła za niemi i radaby wrócić do nich. Żal ciężki, przybijający do ziemi, opanował ją; mgła coraz gęstsza i coraz ciemniejsza obejmowała sierotę. Nie widziała gwiazd na niebie, ani żadnego drzewka na ziemi. Strach ją przejął.

— Pójdź! pójdź! — rozległ się krzyk nocnego ptaka.

— Cicho! cicho! już idę — szepnęła żałośnie i pobiegła naprzód. — Aby ino jak najdalej od stryjny, aby prędko jaką głęboką wodę znaleźć — powtarzała, gdyż czuła, że ją siły opuszczają.

Nogi pod nią drżały, ogień palił, a zimno przechodziło po calem ciele.

Uczuła, że schodzi po spadzistości, mgła robiła się bielsza, lecz gęstsza. Pochyliła się i usłyszała plusk rozkołysanej wiatrem wody.

— To już tu! — zawołała. — Czy mnie matusia czy sowa tu zawiodła ?

Ręce załamała, żal jej było tracić swą istotę i rozstawać się z nią na całą wieczność.

Z załamanemi rękami stała parę chwil, ból serce ściskał, w oczach jej się mroczyło — czuła, że upadnie.

I żeby ludzie nie znaleźli jej na brzegu i do stryjny nie zaprowadzili, zrzuciła na ziemię płachtę, gorset i spódniczkę — zatrzęsła się od zimna i strachu.

— Pójdź! pójdź! — usłyszała.

Krzyk sowy wzięła za wołanie matki.

— Matusiu! — jęknęła żałośnie i skoczyła.

Woda była zimna, lecz niegłęboka. Ledwo się w niej zanurzyła, znalazła grunt pod nogami,

stanęła, tchu złapać nie mogła, raz jeszcze rzuciła się na dno, lecz ją woda wypchnęła; wyskoczyła na brzeg, okryła się płachtą i, choć dygotała od zimna, uczuła się rzeźwiejszą.

— Woda mnie przyjąć nie chciała — mówiła, dzwoniąc zębami. — Trzeba uciekać daleko, daleko, dopaść do lasu, położyć w gęstwinie i nie wstać.

Ubrała się, okryła płachtą i poszła brzegiem wody, aby jak najdalej, na koniec świata. Święta Panienka ją opuściła.

Mgła wznosiła się w górę, wiatr się budził i rozpędzał ją, na wschodzie czerwona łuna rozlała się krwawo.

— Świta! — szepnęła i ze strachu, aby jej nie dogoniono, przyśpieszyła kroku.

W głowie jej huczało, powieki ciężyły ołowiem, oddech miała ciężki; nogi, choć bose, ledwo dźwignąć mogła.

— Już nie zajdę do lasu, nie mam sił — mówiła, a bała się spotkać z ludźmi.

Zal i strach szarpały jej serce.

Doszła do żelaznej drogi. Słyszała o wielkim wozie, co jeździ po tych szynach, buchając ogniem i dymem. Myśl i wzrok przykuły ją do miejsca, nie mogła oczu oderwać.

Zahuczało zdaleka; spojrzała — białe kłęby dymu wznosiły się w górę. Jakiś czarny potwór zbliżał się. Dziewczynce ugięły się kolana, same prawie, bez jej wiedzy, opierając się o szyny. Zimny pot oblał jej czoło, rękami zasłoniła oczy i już nic więcej nie słyszała.

Zbudziła ją ręka konduktora; przed nią stał maszynista, panowie zaczęli wysiadać z wagonów. Przerażona, zalękniona, nie mogła słowa przemówić. ' Na zapytania nie odpowiadała. Dopiero gdy jeden z panów pociągnął ją na stronę, pochylił się nad nią i zaczął rozpytywać, opowiedziała mu o stryjnie i swem nieszczęściu.

Pan powtórzył państwu, zaczęto zbierać składkę dla biednej sieroty; zebrane pieniądze zawiązano jej w róg płachty, konduktor wsadził ją do pustego wagonu; wóz zaświstał, zahuczał, szarpnął raz, drugi i poleciał.

Dziewczynina nie mogła się oswoić w nowem, a tak niespodziewanem dla siebie otoczeniu, patrzała przez szyby wagonu, serce jej bilo — zawinięte pieniądze w płachtę ściskała.

Gdzie jedzie, dokąd, co z nią zrobią? — myśli w głowinie dziewczynki plątały się bezładnie.

I znowu wóz świsnął, pociąg zwalniał, szarpnął się i stanął. Konduktor otworzył drzwi, wziął ją na ręce i, stawiając na ziemi, prowadził do brodatego pana w czerwonej czapce. Ludzie wsiadali i wysiadali, brodaty pan ujął ją za rękę — pociąg ruszył i za chwilę zniknął w przydrożnym lesie. Na stacyi było paru gospodarzy i gospodyń, a wśród nich niewielki człowiek w białej płótniance.

Brodaty pan opowiadał, jak Jagusia uciekła od stryjny, chciała sobie życie odebrać, ale maszynista zobaczył i pociąg zatrzymał.

Jedni się dziwili, drugich litość brała dla sieroty, pogwarzyli i poszli..

Dziewczynka usiadła na schodkach przed budynkiem; pani jej przyniosła mleka i chleba kawałek. Mleko wypiła, lecz chleba jeść nie mogła — nie miała sił. Pan w czerwonej czapce pogłaskał ją; radził wracać do chaty, oddać stryj nie pieniądze za cielę i cicho siedzieć.

— I będzie zgoda — kończył. — Idź, idź, moje dziecko, rozpytuj się ludzi, to ci drogę pokażą.

Jagusia wstała, poszła, chociaż ledwo iść mogła.

Na drodze stal niewielki człowieczek w białej płótniance. Niepokaźny, troszkę utykał na nogę, twarz miał podziubaną od ospy, lecz jakoś mu dobrze z oczu patrzało, włosy białe wyglądały z poza zielonej czapki. Gdy się z nim Jagusia zrównała — poszedł z nią. Z początku milczeli oboje, nareszcie niewielki człowieczek przystanął — stanęła i dziewczynka.

— I cóż se poczniesz ? — odezwał się.

— Nie wiem — odpowiedziała.

— Do stryjny nie wrócisz?

— Nie, nie wrócę, nigdy.

— Jakże ci na imię ?

— Jaga.

— Słuchaj-no, Jaguś.

— Mówcie.

— A żebyś ty się do mnie przeniosła.

— Do was?

— Do mnie, mam ciepłą chatę, drzewa poddostatkiem i morgę gruntu. Lasu pańskiego pilnuję, to i paść mi w nim wolno. Sam jestem, jak palec, matusia mi zmarła na wiosnę. Przygarnę cię bez

zimę, to mi w lecie odrobisz. Niema komu krowy wydoić, ziemniaków uskrobać, strawy uwarzyć. Jakoś raźniej i weselej się zrobi w izbie.

— A nie będziecie mnie bić? bo ja jeszcze wszystkiemu nie podolę, jakby jaka gospodyni.

— Nikogo jeszcze nie uderzyłem, a ciebie miałbym bić, sierotę? Abo to będziesz zła?

— Dobra będę — odpowiedziała. — A jak ino podrosnę, to zobaczycie.

— A ileż masz ?

— Na czternasty, mówili stryk.

— To niedługo czekać. No cóż, Jaguś, pójdziesz ?

— Pójdę — szepnęła.

— A no to chodźmy.

— Tylko, że mnie nogi bolą, i, jeżeli daleko, to nie zajdę.

— Boś się zmizerowała bez całą noc i tyle strachu najadła.

Ujął ją za rękę.

Gwarzyli, lecz Jaguś słabła, w oczach się jej mroczyło, i nóg już nie mogła uciągnąć za sobą. Leśny zdjął z niej płachtę, rozłożył na ziemi, posadził dziewczynkę, ukląkł, pochwycił końce do rąk i dźwignął, prostując się.

— Ej, Jaguś, Jaguś, ważysz ty nie więcej nad pół korca żyta.

— Bom zmizerowana, dawniej trzy ćwierci przeważyłam — szepnęła.

W jednym z rogów płachty namacał pieniądze.

— Cóż to masz zawiązane w węzełku.

— Ej, to państwo mi dali za zgubione cielę. Uśmiechnął się leśny.

— To i lepiej, że z próżnemi nie przychodzisz do chaty rękami.

— Lepiej — odpowiedziała cicho.

Milczeli, droga stawała się coraz cięższa, nogi grzęzły w piasku, leśny ciężko oddychał, a ciemny las powoli jakoś zbliżał się do nich.

— Jaguś, nie poszłabyś choć odrobinę sama?

— Może i pójdę — odpowiedziała.

Otulił ją płachtą, wziął za rękę — poszli. Dziewczynina się słaniała, odpoczywała. Nie było rady — wziął ją na ręce.

— Aby ino dobić do lasu — powtarzał — to sobie poradzimy; prawda, Jaguś ?

— Prawda — szepnęła.

Koło południa drzewa ponad, nimi zaszumiały. Leśny zwrócił się na ścieżkę, zatrzymując się na niewielkiej polance.

— Jaguś, zaczekasz tu na mnie, a ja niezadługo wózkiem przyj adę po ciebie.

Nagarnął liści dębowych, ułożył dziewczynkę, przykrył płachtą, zdjął z siebie płótniankę i otulił.

— A wracajcie, jakeście dobrzy, cnie mi się za izbą, coś mnie tak rozbiera, pić się chce.

— Zdrzem się ino, nie uleci godzina, jak wrócę.

Pogłaskał ją po twarzy. Dziewczynka chciała go pocałować w rękę, lecz nie pozwolił na to.

Poszedł — Jagusia zasnęła. Śniła jej się wielka woda, która ją przyjąć do siebie nie chciała, wóz, ziejący ogniem, co stanął przed nią, i w bia-

łej płótniance gospodarz. Niósł ją przez pola i lasy daleko, gdzie słońce świeciło i radość była.

— Jaguś, przespałaś się — zbudził ją głos małego człowieczka.

Dziewczynka oczy otworzyła, lecz nic nie odpowiedziała. Przed nią stał niewielki wózek z przyprzężoną do niego krową.

— Podajcie mi ręce.

Chciała powstać, lecz nie mogła. Zaniósł ją na wóz, zagrzebał w słomę, okrył starym kożuchem, wdział płótniankę i ruszyli w drogę.

Jechali wolno. Na twardej drodze krowa ciągnęła sama, lecz gdzie było ciężej, głęboki piasek, leśny przyprzęgał się do wozu i albo go pchał, albo, idąc przy krowie, ciągnął za powróz.

I tak dobili do chaty, na kraju lasu stojącej. Tuż za nią drzemała niewielka stodoła i przylepiona do niej na jedną krowę stajenka...

Dziewczynina, siedząc na łóżku, rozglądała się po dużej izbie, chociaż mało co widziała. Ciemne płatki latały jej przed oczyma, a w głowie szumiało, jak w młynie.

Gospodarz usłał jej pod ścianą ze świeżego siana legowisko, obciągając je płachtą, poduszkę dał własną, ułożył dziewczynkę, okrył kocem, na nogi położył stary kożuch.

Słońce zaszło, ciemność zaległa w izbie, lecz za to ogień jasny, sypiący iskrami, buchnął na kominie.

— No, jakże ci, Jaguś? — spytał leśny, siadając obok dziewczynki.

— Matusia mi was zesłała — odpowiedziała

cicho. — Woda innie nie wzięła, ognisty wóz nie stratował, bo wyście na mnie czekali.

— Bylebyś ino była zdrowa. Ugotuję ci kwaśnego żuru[1]) i, Bóg da, jutro wstaniesz.

— Wstanę — szepnęła, wzdychając.

Nie doczekała się żuru — rozpalona, jak ogień, zasnęła.

## IV.

Nie wiedziała, jak długo spała, gdy otworzyła oczy, podniosła rękę do czoła, lecz ledwo ją dźwignąć mogła. Chciała wstać, a głowy od poduszki oderwać nie miała sił. Patrzała zdziwionemi oczami po izbie i nie wiedziała, gdzie jest. Nie była to izba stryjny, i stryjnaby ją do izby nie przyjęła. Zaczęła sobie przypominać wodę wielką i zimną, wóz ognisty, i nareszcie uśmiechnęła się. Do uszu jej doleciał szum drzew z pobliskiego lasu, z chaosu jej myśli wyłaniał się niewielki człowieczek w białej płótniance. On ją tu przywiózł. Uśmiechnęła się szczerzej i serdeczniej. Była daleko, daleko od stryjny.

Wieczorem zaskrzypiały drzwi, do chaty wszedł ten sam człowieczek, w kożuchu i czapce zielonej, z dubeltówką w ręku — podszedł do dziewczynki, popatrzał na nią i uśmiechnął się serdecznie.

— Wiesz, Jaguś, najadłem się strachu o cie-

---

’) Żur — kwaśna polewka z mąki.

bie. Bez dwie niedziele leżałaś, jak rozpalona kłoda, ledwoś się dwa razy wody po odrobinie napiła. Myślałam, że już skapiejesz na piękne. No, ale przecież oczy rozwarłaś.

— Rozwarłam — odpowiedziała wesoło.

Chciała dziękować, ale jakoś nie śmiała i nareszcie nie miała sił.

Leśny usiadł przy niej.

— Cóżbyś zjadła? do czego sobie lubujesz? jutro pójdę do miasta, to ci przyniosę. Przecież masz swoje pieniądze.

— Weźcie je — prosiła. — Co mnie po pieniądzach, na mleko mam ino smak.

Wypiła mleka i, cicho leżąc, patrzała na wesoły ogień, parę obrazów świętych, zawieszonych na ścianie, wsłuchując się w szumy drzew z przyległego lasu.

— A wiesz, Jaguś, że mi cię żal było i cnęło się. Ciągiem ino sam od śmierci matusi, tyś się zjawiła, ledwoś zagadała i spałaś, jakby do skonania.

Nalał żuru do miski, w drugą wysypał z garnka ziemniaki, postawił na stole, wyjął blaszaną łyżkę i jeść zaczął.

Dziewczynka się patrzała rada, uśmiechnięta, szczęśliwa. Zapach żuru rozbudził w niej apetyt. Wypiła go garnuszek — krople potu wystąpiły na jej twarz, sen ją zmorzył i zasnęła.

Już był dzień, gdy otworzyła oczy; spojrzała w okno — białe płaty śniegu leżały na zielonych gałęziach sosen, przy łóżku ustawione czekały na nią garnuszki: jeden z mlekiem, drugi z żurem.

— Już zima — pomyślała — a ja bez butów, zmarniałabym u stryjny.

Spojrzała na garnuszki, skosztowała żuru, wypiła mleko i radowała się swem szczęściem. Ciepło było w izbie, cicho, żywego ducha, że słyszała bicie rozradowanego serca.

Dziewczynka, lubując się w tej ciszy i samotności, dziękowała matusi.

— Święta Panienka nie zlitowała się nade mną i nie obroniła mnie. A może to ona zrobiła, że mnie woda przyjąć nie chciała? Może ona zatrzymała i zesłała dobrego człowieka ?

Wieczorem przyszedł leśny z jarmarku, kupił jej kukiełkę i buty, a za resztę młodziutką jałówkę dla niej, bo to jej pieniądze — wychowa ją sobie na krowę.

Jagusia chciała zobaczyć jałówkę, przyprowadzoną głaskała, chociaż ledwo rękę podnieść mogła. Zwierzątko było wesołe i ładne.

Uradzono, aby ją zostawić w izbie, posłać w kącie ode drzwi słomy i uwiązać — będzie weselej.

Minął tydzień i drugi, Jagusia nie wstawała. Miała i nowe buty, i stary kożuch leśnego, radaby wylecieć na Boży świat, lecz nie mogła, nie miała sił podnieść się. Czuła, że jest ciężarem dla biednego człowieka, i tem się gryzła.

Posmutniała i swe obawy i żale powiedziała leśnemu.

— A choćbyś bez całą zimę leżała, i bez rok, i bez dwa, to ci marnego słowa nie powiem. Wiesz, Jaguś, co ? — mówił dalej, zmieszany, spuszcza-

jąc oczy. — Jak wydobrzejesz i urośniesz na śmyśną [1]) , dziewuchę, nauczę cię, co potrzeba, pójdziemy do jegomościa na pacierze, dam na zapowiedzie i zostaniesz moją kobietą. Wydasz się za mnie ?

Jaguś się zarumieniła, jak wiśnia.

— A jakże wam? — szepnęła.

— Marcin.

— Mój Marcyś — rzekła cicho — dobrzy jesteście, przytuliliście sierotę, a la czegobym się nie miała za was wydać?

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po twarzy.

— Niech-no ino ja się zwlokę — mówiła dalej wesoło — zobaczycie, jak się wezmę do pracy: krowę wydoję, nawóz z pod niej wyrzucę, opatrzę jałówkę, izbę skropię wodą i zamiotę, rozpalę ogień, garnki nastawię, ziemniaków naskrobię i sama się ogarnę... Gdyby było prosię, to i jemu dałabym radę. Nie będziecie na mnie narzekać. W lecie to i gałązek z lasu przyniosę, jagód uzbieram, w żniwa na zarobek pójdę. Nie zmarnuję wam grosza, stroić się nie lubię, ani łakoma nie jestem.

— I naśmiewać się ze mnie nie będziesz, jak inne dziewuchy?

— Az czegóż ? że utykacie na nogę, abo że macie twarz podziubaną, to Bóg tak dał — odpowiedziała swobodnie.

Naiwna odpowiedź dziewczynki chwyciła za serce Marcina. Bóg tak dał — i za cóż ludzie mają

*) Śmyśny — zgrabny, dzielny.

śmiać się z niego, a młode dziewczyny pogardzać nim? Jagusia, jak wydobrzeje i urośnie, będzie ładna, zostanie jego kobietą, będzie dobrą, pracowitą... Nie śmiał pomyśleć, że kochać będzie,, nie umiał określić tego uczucia, choć je przeczuwał.

Onieśmielony milczał, milczała i Jagusia. Radość rozsadzała jej serce. Marzyła, jak zostanie gospodynią, czuła się już w połowie panią^ w chacie.

— Później, Jaguś, to i dziewkę przyjmiemy — odezwał się Marcin.

— Później! — pochwyciła Jagusia. — Pókim młoda, to dam se przecie radę.

Zamilkli oboje. Leśny myślał, jaką to będzie miał kobietę; Jagusia rozważała, jak sobie musi w gospodarstwie radzić. Szczęście dodawało jej śmiałości. 1 znowu wyciągnęła chudą rękę i pogłaskała twarz Marcina.

— Mój Marcyś, wyście dobrzy, bardzo dobrzy, bierzecie sierotę, co wam żadnego wiana nie wniesie...

— A jałówka? — przerwał Marcin. — Nim się wydasz, to już dobrze będzie krową.

Dziewczynka pokiwała głową.

— Ej, Jaguś, abyś była ino dobrą, to powiem, że mi cię Pan Bóg zesłał.

— Matusia — dodała dziewczynka — i święta Panienka — dodała w myśli.

Ciche dnie radości szybko płynęły. Marcin wieczorem siadywał na posłaniu Jagusi, dziew-

czynka głaskała chudą ręką dziobatą jego twarz, gwarzyli o przyszłem gospodarstwie.

Mijał tydzień po tygodniu, dziewczynka nie mogła się podźwignąć, chociaż twarzyczkę miała uśmiechniętą i czuła się szczęśliwa...

Całymi dniami leżała w pustej izbie. Jałówka przychodziła do niej, skubiąc siano z pod jej posłania; głaskała ją, rozgrzewając skostniałe swe ręce ciepłem jej oddechu. Dobrze jej było w tern otoczeniu, i, chociaż ją nieraz w krzyżach łamało, nie skarżyła się.

Ręce jej schły, twarz chudła, oczy zapadały w dół. Widział to Marcin, czasem westchnął cicho, po nocach nie sypiał, lecz słowem się nie zdradził.

— Mój Marcyś — mówiła. — Może ja się już nie dźwignę i nie będziesz miał swojej baby. Pójdę za matusią i nie zobaczę ani twej krowy, ani stodółki, ani naszego pola, bo ono przecie i mojeby było. Nie pochwalisz się swoją babą w kościele. Taka już moja dola... ale się nie skarżę, bo mi tu dobrze z tobą. Żeby ino tak w niebie było.

Chłop wybiegł z izby, dopadł do stajenki i dopiero tam wybuchł serdecznym płaczem, że się uciszyć nie mógł.

Obłaskawiła króliki i dużo miała uciechy, gdy po posłaniu skakały, jedząc z jej ręki liście kapusty. Dziękowała w duchu matusi, że cielę stryjny się urwało, a ją przez trzęsawiska i wody aż tu zaprowadziła. Święta Panienka nie chciała jej uzdrowić — miała żal do niej.

Zawsze, gdy się drzwi otwierały i Marcin wchodził, uśmiechała się do niego serdecznie, a jeżeli wieczorem usiadł na jej posłaniu i bajki opowiadać zaczął, radość była wielka. Słuchała z wpatrzonemi w niego oczami.

Gdy mrozy nastały, nawiedziła ją myszka, skradając się powoli. Dostała okruszynę chleba i nazajutrz przyprowadziła drugą. Zwierzątka ucieszyły Jagusię, i odtąd żyła z niemi w przyjaźni.

Oddech jej stawał się krótszy, świecące oczy coraz więcej zapadały w głąb, twarz jej ciemniała, głos przycichł, serce jej drżało niepokojem i ciężkim smutkiem.

Przed wieczorem wrócił z lasu Marcin; chociaż śnieg przykrył ziemię i mróz skrzypiał pod nogami, słonko świeciło.

— Mój Marcyś, coś mnie tak ciągnie, aby zobaczyć wasze gospodarstwo. Już ja teraz nie taka ciężka, jak wtedy, gdyś mnie niósł w płachcie, pamiętasz? Odziejże mnie kożuchem i wynieś na Boży świat, do twej stajenki, do stodoły i choć ręką pokaż twoje pole.

Nie śmiał jej prośbie odmówić. Zawdział na nią swój nowy kożuch, wziął na ręce, serce mu zabiło ze strachu — taka była leciutka.

Pogłaskała krowę, popatrzyła na stodołę, uśmiechnęła się do słonka, spojrzała w stronę, w której leżało pole Marcina, — cieszyły ją wielkie dęby i smukłe sosny, szumiące nad jej głową... Zimno ją przeszło, głowa zaciężyła, że wsparła ją na ramieniu leśnego, i dlatego wrócili do izby.

Późno już wieczorem przywołała go do sie-

bie, ujęła za rękę i, przyciskając ją do ust, zapłakała, cicho. Płakał i Marcin, tylko łez jego nie widziała.

— Mój Marcyś, dziękuję ci za wszystko. Pocałuj że mnie — szepnęła.

Pocałował ją, uczuła łzy jego na swej twarzy.

— Toś ty przecie polubił swoją babę, i będzie ci trochę się cnić za nią — dodała.

Marcin nie mógł ani jednego słowa przemówić.

— Pamiętajże o jałówce, o królikach, nie odpędzaj dwóch myszek, co mnie nawiedzały. Zostawiłam im okruszyn chleba, posyp im i ty, żeby głodu nie cierpiały. Dziękuję matusi i Bogu, żem i ja przecie zaznała odrobinę szczęścia, i nie skarżę się na swoją dolę. Idź, mój Marcysiu, legnij se i zaśnij, późno już.

Usłuchał Marcin sieroty, chociaż serce nim szarpało, i spać nie mógł. Zrywał się, podchodził do dziewczynki, nachylał się nad nią i słuchał. Oddychała leciutko, że ledwo uchem oddech jej ułowił. Poszedł na posłanie, lecz za chwilę wrócił i słuchał, odchodził i znowu powracał. Nad ranem zdawało mu się, że słyszy płacz żałosny. Zerwał się, stanął — w izbie było cicho. Podszedł do Jagusi, słuchał, nie mógł już ułowić jej oddechu. Zapalił łuczywo i z płonącem zbliżył się do posłania dziewczynki. Była blada, jak wosk świec kościelnych, oczy miała zamknięte i uśmiech na ustach, jak wtedy, gdy mówiła: »Dobrze mi z tobą, żeby ino tak w niebie było«.

Łzy zasłoniły mu oczy, rzucił szczypę w komin i usiadł na ławie. Nie skarżył się, nie przeklinał, lecz sposępniał i zdrętwiał, jakgdyby mu serce wydarto.

Zimno mu było i pusto. Zerwał się na świtaniu i wybiegł w las. Powrócił koło południa, dźwigając dwie deski.

Jałówka stała nad dziewczynką, ogrzewając twarz jej swym oddechem, jakgdyby ją zbudzić chciała, króliki myły się na jej posłaniu, okruszyn chicha już nie było.

Nie śmiał rąbać i zbijać desek w izbie, założył warsztat w stodółce. Pracował gwałtownie, nerwowo, śpieszył się, pot spływał mu po twarzy, ręce drżały. Nie odpoczął, póki nie zbił trumny. Wymalował na niej białem wapnem krzyż — i wtedy dopiero wyjął z zanadrza kawałek chleba, zjadł go, a był mu gorzki, jak serce i myśli jego.

Wrócił do izby, wystrugał krzyżyk i włożył go w ręce dziewczyny, pocałował ją, obtarł rękawem ostatnie, wysączone z pod serca krople łez, otulił ją płachtą, w której przyszła do niego, wdział jej na nogi nowe buty i zaniósł do trumny. Wiórów podłożył pod głowę i wieko przybił kolkami.

I znowu zaprzągł się z krową do wózka i pociągnął w las, wioząc trumnę.

— Jaguś, będziesz bliżej mnie — powtarzał w myśli. — Nikt cię nie widział, kiedyś przyszła, i nikt cię nie widzi, gdy odchodzisz. Wszędzie ziemia święta, a tu zaraz sądy, doktory, Bóg wie

co. Trzebaby było sprzedać jałówkę, a może i krowęby zabrali.

Na wzgórku, wśród wieńca smukłych modrzewi i brzóz, wykopał dół i na powrozie spuszczał trumienkę powoli, żeby dziewczynce co złego nie zrobić.

Przy pierwszych odgłosach spadającego piasku na wieko trumny rozpłakał się głośno.

Leśny i krowa, ciągnąc próżny wóz, wracali do domu. Milczeli, że słychać było skrzyp kół, toczących się po zmarzniętym śniegu.

W izbie było zimno i pusto — ponuro. Serce mu pękało z boleści i żalu, — pochwycił dubeltówkę i uciekł na całą noc w las.

**61. Sewer. Łusia Burłak.**
62. — Wiosna.
63. — Dola.
65. Sieroszewski W. Kulisi.
68. Kaczkowski Z. Bitwa o chorążankę.
69. Prus B. Cienie. Z legend dawnego Egiptu. W górach.
71. Konopnicka M. W Winiarskim forcie.
72. — Urbanow.a.
73. — Miłosierdzie gminy.
74. Lenartowicz T. Wybór poezyj.
75. Kondratowicz L. (Wł. Syrokomla). Wybór poezyj.
82. Kraszewski J. I. Jak się dawniej listy pisały.
90. Korzeniowski J. Karpaccy górale.
91. Kondratowicz L (Wł. Syrokomla). Ułas.
93. — Jan Dęboróg.
95. — Wielki czwartek.
96. Asnyk Adam. Wybór poezyj.
98. Pol Wincenty. Pieśń o ziemi naszej.
101. Chrzanowski Ign. Za co powinniśmy kochać **Pana Tadeusza!** Wyd. 2-gie.
102. Krasicki Ign. Bajki i przypowieści. Wybór.
105. Niemcewicz J. U; Wybór poezyj.
118. Orzeszkowa E. Światło w ruinach.
119. Kubala L. dr. Mieszczanin polski z XVII w.
122. — Oblężenie Zbaraża i pokój pod Zborowem. ■
125. Szajnocha K. Zdobycze pługa polskiego.
127. Mickiewicz Adam. Ballady i romanse.
128. — Bajki i powiastki.
130. Słowacki Jul. Ojciec zadżumionych. — W Szwajcarji.
131. — Jan Bielecki. — Mnich. — Arab. — Hugo.
135. Orzeszkowa E. Daleko. — Karjery.
137. — Dobra pani.
138. — Panna Róża.
141. Konopnicka M. Z Liryk i obrazków.
142. Niemcewicz J. U. Śpiewy historyczne.
143. Mickiewicz A. Sonety Krymskie. — Farys,
145. Brodziński K. Wiesław.
146. Kondratowicz L. Szkolne czasy.
147. Słowacki J. Liryki. (Wybór).
148. Malczewski A. Marya.
149. Fredro A. Pan Geldhab.
150. — Zemsta za mur graniczny.
151. — Śluby panieńskie.
162. **Byron.** Więzień Czyllonu. Przekład **Morawskiego.**
163. Szymański A. Stolarz Kowalski.
164. Słowacki J. Anhelli.
165. Krasiński Z. Przedświt.
166. Mickiewicz A. Konrad Wallenrod,
167. — Grażyna.
168. Szekspir W. Sen nocy letniej.
**170. Synowska M.** Obrazy z dziejów piśmiennictwa **polskiego:** Bielski, Górnicki, Stryjkowski, Paprocki.

171. Szekspir W. Hamlet. Przekład Paszkowskiego,
172. — Makbet. Przekład Paszkowskiego.
174. — Król Lir. Przekład Paszkowskiego.
175. — Otello. Przekład Paszkowskiego.
176. Mościcki H. Wernyhora.
178. Ustawa rządowa z d. 3 maja 1791 r.
179. Katechizm narodowy z 1791 r.
180. Reymont St. Z ziemi chełmskiej.
181. Prus B. Omyłka.
182. Romanowski IW. Liryki.
185. Szujski J. Tadeusz Rejtan na sejmie.
188. Chrzanowski Ign. Liryka patrjotyczna Asnyka.
189. Asnyk A. Poezje patrjotyczne.
190. Szekspir W. Juljusz Cezar.
191. Hoffmanowa Kl. Obiad czwartkowy.
192. Kochanowski J. Treny.
193. Oppman A. (Or-Ot). Pieśni o księciu Józefie.
196. Słoński E. Wybór poezyj. »Ta co nie zginęła«.
197. Korzeniowski L Wąsy i peruki.
198. Krasicki I. Powieść o narożnej kamienicy.
199. Szajnocha K. Matka Jagiellonów. Szkic historyczny.
200. Molière J. Skąpiec. Przełożył Boy.
201. Żółkiewski St. Początek i progres wojny moskiewskiej.
202. Smoleński Wł. Znaczenie Tadeusza Kościuszki w dziejach Polski.
204. Szajnocha K. O »Łaźni« Boi. Chrobrego. Kopja husarska.
205. Smoleński Wł. Znaczenie Konstytucji 3 maja.
206. Słowacki J. Rozmowa z Matką Makryną Mieczysławską.
207. Pol W. Wit Stwpsz.
208. Dubiecki M. Bohaterski naczelnik powstania styczniowego (Romuald Traugutt).
209. Zmorski R. Wybór poezyj.
210. Oppman A. Pieśni o belwederskiem powstaniu.
211. — Pieśni o legjonach.
212. Konarski St. O obowiązkach Polaka,
213. Mościcki H. Twórca pieśni: »Jeszcze Polska nie zginęła«.,.
214. Korzeniowski I. Kollokacja.
215. Sienkiewicz H. Stary sługa.
216. Szekspir W. Kupiec wenecki.
217. Słowacki J. Kordjan.
218. Żeromski St. Rozdzióbią nas kruki, wrony. Hb swego Boga,
219. Wyspiański St. Kazimierz Wielki.
221. Włodek L. Bolesław Prus.
222- Goethe J. W. Cierpienia młodego Werthera, w przekładzie i ze wstępem P. Choynowskiego.
223. Małaczewski E. Tam, gdzie ostatnia świeci szubienica.
225. — Dzieje Baśki murmańskiej.
226. Chrzanowski I. Komisja Edukacyjna i jej posiew.
227. Reymont Wł. Ave Patria morituri te salutant. Los Toros,
228. Siedlecki-Grzymała A. Żołnierz.
230. Konopnicka M. W Gdańsku.
231. — Hrabiątko. Jak Suzin zginął.